

ZBIGNIEW JANAS

ur. 1953; Warszawa



Miejsce i czas wydarzeń	Czechosłowacja, PRL
Słowa kluczowe	NSZZ "Solidarność", PRL, opozycja, opozycja w PRL, opozycja w Czechosłowacji, Vaclav Havel

Że coś się zmieni, było widać

Że coś się zmieni, to już było widać na pierwszym spotkaniu po wyborach czerwcowych. Dlatego, że – jak dzisiaj pamiętam – ja organizowałem to spotkanie tu po tej stronie, a po tamtej stronie, Petr. I oni przyszli w pełnym, że tak powiem, wydaniu. Łącznie z Waszkiem Havlem. A po naszej stronie, nikt z tych „wielkich” już nie przyszedł. Nie mieli czasu. Można to zrozumieć, bo to był już czerwiec, to się dopiero co zmieniło. Ale widziałem rozczarowanie w oczach Waszka. Bo oni oczywiście chcieli się dowiedzieć, co tu się dzieje. Kilku z nas poszło, ale no żaden z naszych „wielkich” nie przyszedł. I to już wskazywało, że będzie inaczej, nawet jeśli u nas jeszcze nie było wiadomo, co się stanie i w jaką stronę pójdzie. Ale po tego typu zmianach, trzeba się liczyć z tym, że wszystko będzie zupełnie inne. Trochę mi wtedy było, prawdę powiedziawszy, wstyd i przykro, że właśnie tak się stało. Oczywiście dla nich my byliśmy równie ważni, że przyszliśmy i opowiedzieliśmy. Pamiętam jak dzisiaj, oglądali moją legitymację poselską i po prostu nie mogli uwierzyć, że ten kryminalista nagle [pojawia się] z legitymacją poselską. Że jakby przyszła bezpieka to mogą nas „pocałować”. Mnie przynajmniej. W każdym razie to pokazywało, jak zupełnie inna już jest sytuacja. Opowiem jeszcze jedną historię, która rzeczywiście pokazywała, jak to było dla nas ważne. Była taka potrzeba – nie pamiętam, dlaczego – żeby się spotkać w zimę. Wtedy Wrocław przygotowywał to [spotkanie]. Ja dzisiaj już nie pamiętam, co to się działo, ale w każdym razie mieliśmy wtedy taką potrzebę. Czesi mieli taką potrzebę, żeby się spotkać. Poszliśmy w góry. Poszedłem ja, Mirek Jasiński, „Ducina” nie było na tym spotkaniu, chociaż on je przygotowywał, poszedł Jarek Broda i Radek Gawlik taki późniejszy działacz „Zielonych” i poseł. Poszliśmy we czterech. We czterech na szlak w absolutną zimę, taką prawdziwą w górach zimę. Był mróz. Sypało. Zawieja. Pamiętam, nic prawie nie widzieliśmy, bo śnieg nam zaszuwał [w oczy]. Jarek ma bujną brodę. Jest taki okrągły, „misiowaty”. Wyglądał, jak Mikołaj na święta. Po prostu był cały biały. Ja się obejrzałem i parsknąłem śmiechem. Wszyscy trochę tak żeśmy wyglądali, bo to parowało i od razu zamarzało,

bo był mróz. I myśmy szli w te góry we czterech, dzisiaj uważam, że byliśmy prawie samobójcami, bo Karkonosze są bardzo groźne w zimie. A my musieliśmy przejść szlakiem i wyjść na grań. I twardo żeśmy maszerowali, bo byliśmy umówieni. Nie może być tak, że Czesi dojdą, [a my, nie], no to po prostu nie ma mowy. Tam takie tyczki były, żeby było widać, gdzie szlak jest. Były potężne, ale tak zasypane, że tylko czubki [wystawały].Więc idziemy na grań, było wiadomo, że musimy przejść tyle i tyle tyczek. I twardo śmy skręcili tą granią, potąd w śniegu żeśmy się zapadali. I tak tylko noga za nogą przez ten śnieg żeśmy zamaszerowali do tego miejsca. Długo to trwało, przez ten śnieg i ten wiatr ledwo żeśmy żyli. Czekamy, czekamy. Małośmy nie zamrzli. Czesi, nie przyszli – może nie dali rady, może coś. Jak żeśmy już zobaczyli, że nie przyszli – no to z powrotem. Znowu przez ten śnieg. Z powrotem tą granią. Schodzimy, już troszeczkę lżej było, już był las, więc już nie było takich zasp i mieliśmy wiatr w plecy, już się oczywiście łatwiej schodziło. Wyglądaliśmy, jak Mikołaje. Jak miśki takie, całe obsypane śniegiem. Schodzimy i nagle patrzymy, z boku żołnierze z WOP-u. No, ale idziemy, przecież nie będziemy uciekać, ganiać się z nimi. Zawsze byliśmy przygotowani na to, że nas zatrzymają, aresztują, czy coś, więc schodzimy. Dochodzimy do nich, a oni mówią: „No i, co? Czesi nie przyszli?”. – „A wy skąd wiecie?” „A, bo – mówi – dzwonili już z drugiej strony, że zatrzymali tam na dole grupę tych Czechów, którzy szli na spotkanie z wami. A myśmy was widzieli”. Mówię: „To kurwa, dlaczego, żeście nas od razu nie ostrzegli?” – „Bo chcieliśmy zobaczyć, jak się będziecie męczyć”. Jak ja byłem wściekły! Pewnie bym się rzucił na nich z pięściami. Ale Jarek zaczął się po prostu śmiać. A on się tak tubalnie, fajnie śmieje. Zaczął się śmiać to i myśmy zaczęli się śmiać. Po tym wszystkim mówi: „To sukinsyny. Jeszcze się z nas nabijali”. W końcu wyszła z tego niezła zabawa, ale ja to byłem wściekły. Bo po prostu mogliśmy tam normalnie zostać, to było tak groźne. Ale byliśmy twardzi, młodzi, mieliśmy siłę. A też byliśmy przekonani, że jak się umawiasz, to musisz być, bo to po prostu nie są żarty. Ludzie ryzykują po drugiej stronie więcej, niż my. Ale skończyło się wszystko na takiej anegdocie. Nie aresztowali nas, bo nie było powodu – przecież nie spotkaliśmy się z Czechami. Ale wiedzieli, oczywiście, żeśmy szli na spotkanie z Czechami. Jak by nas spotkali i zatrzymali, no to by nas musieli aresztować. A tak? Byliśmy na szlaku – no, co? Wolno nam. Potem już nie mieliśmy takich pomysłów, tylko twardo czekaliśmy na wiosnę. Na roztopy, kiedy już nie trzeba było iść po lodzie i po śniegu. W tym okresie właśnie żeśmy wszystko przygotowywali tak, żeby zdążyć [do wiosny]. Jak trzeba było, to często chodziliśmy. Ale zawsze brakowało ludzi, bo to było zawsze ryzyko. Był taki jeden przerzut, [kiedy] rzeczywiście mieliśmy więcej szczęścia, jak rozumu. Miałem takich dwóch „pistoletów”. Obaj byli z Solidarności Walczącej. Jeden z nich pracował u nas w spółdzielni, drugi był prawnikiem. Obaj tacy bardzo radykalni politycznie, jak to z Solidarności Walczącej. Tyko, że Solidarność Walcząca, to było hasło i żadnej „roboty”. To zresztą, przyznają ci ludzie z tej Solidarności, że tam, po prostu, nie było żadnej „roboty”, żadnych pomysłów. Najwspanialsza rzecz, która im się przytrafiła, to

było to, że spotkali nas. Nagle mieli rzeczywiście, co robić. Była przygoda, było też ryzyko. Oni dopiero zobaczyli, jak można działać. A tam, to co? Piękne słowa, wielkie słowa. I tyle. Tam nie było żadnej organizacji. To zresztą publicznie powiedział nasz kolega, jak żeśmy odsłaniali tę [tablicę], bo on jest z Łądką Zdroju. On był w Solidarności Walczącej i nic nie miał do roboty, nikt od niego nic nie chciał. Dla niego najwspanialszy czas był dopiero, jak spotkał ludzi z Solidarności Polsko-Czechosłowackiej. Dopiero się zaczęła przygoda jego życia. To był akt polityczny, ale i przygoda też była wspaniała. I ci moi, jak ja ich nazywam: „dwóch wariatów”, bo trochę tacy byli i do dzisiaj są – teraz na przykład skaczą ze spadochronów, zawsze byli „postrzeleni” i tacy do dzisiaj zostali – oni właśnie chodzili we dwóch na te przerzuty, jako kurierzy. Kiedyś pojechali moim samochodem. Maluchem. Bo już miałem wtedy malucha, zarobiłem w tej spółdzielni. Mimo, że chodziłem na przerzuty i ten czas traciłem, to bardzo dobrześmy zarabiali, więc z jednej transakcji kupiłem samochód na giełdzie. To w tamtych lasach, to było coś. Tak powiem, że dawałem sobie radę z moimi przyjaciółmi. Natomiast samochodów nie było za dużo, więc oni pojechali moim samochodem z tym plecakiem, z przerzutem. Ale samochód im wysiadł po drodze. Jakoś tam sobie poradzili, bo malucha można było wyklepać młotkiem, czy mesłem. Jak wiadomo było, co jest, to się pojechało, więc jakoś tam sobie poradzili, ale już byli spóźnieni sporo. Normalnie nie wolno im było, oczywiście, jechać na miejsce, czyli pod schronisko, tylko musieli niżej zostawić samochód i iść. Chodziło o bezpieczeństwo. Ale oni, jak to te „postrzeleńce”: „Spóźnimy się. Ryzykujemy? Ryzykujemy”. I tym maluchem, czego nikomu nie wolno było [robić], bo tam jeździły patrole i tak dalej – pod samo schronisko zajechali. Na Chochołowskiej. Z tym pełnym plecakiem załadowanym książkami. I prawie byli o czasie dzięki temu. Bo tam jest dość daleko od tej polany, to trzeba by jeszcze z takim napakowanym [plecakiem] chyba z półtorej godziny iść. Natomiast oni, po prostu tym maluchem podjechali pod samo [schronisko] i, jak to zwykle, mieli szczęście, bo ich żaden patrol nie spotkał. Ani w tę, ani w tę [stronę]. Więc i pojechali, i plecak zanieśli i „czeski” znieśli, i przyjechali. Bez zatrzymania. Co było nieprawdopodobne, bo tam bez przerwy kontrolowali wtedy. Czasami trzeba było mieć takie wariackie pomysły. Oni mieli i nie zastanawiali się długo. I mieli szczęście. Ja to się śmiałem z nich, jak byliśmy razem na odsłonięciu tej tablicy, mówię, że jak teraz nie mają tej adrenaliny, bo nie chodzą w góry, to muszą skakać. Jest taki typ, taki globtroter, kompletny wariat. W sensie pozytywnym. Oczywiście mamy kontakty i kolegujemy się, mimo, że to są „postrzeleńcy” tacy. Ale trzeba im oddać [sprawiedliwość], że rzeczywiście, w tym czasie chodzili, pomagali i byli zaangażowani. Każdemu trzeba to oddać. Potem mieliśmy z Czechami w „Ornaku” spotkanie przyjaciół. Czesi tam przecież nigdy nie byli. Więc dopiero wtedy zobaczyli, gdzie my się spotykaliśmy. Teraz zresztą „Ornak” służy jako dom taki wypoczynkowy, więc zarezerwowaliśmy wcześniej wszystko i tam żeśmy spali. To był taki wieczór, gdzie wszyscy opowiadaliśmy – to też było nagrywane i filmowane – i Czesi, i my opowiadaliśmy te swoje historie. I nawet, jak

się człowiek potem różni politycznie, to my, Solidarność Polsko-Czesko-Słowacka jesteśmy taką organizacją, gdzie – chyba jedyną mi znaną – gdzie my do dzisiaj, niezależnie od tego, kto gdzie był, nie przestaliśmy się spotykać. Mirek Jasiński był w którymś momencie wojewodą z ramienia rządu Olszewskiego, czyli najbardziej prawicowego. Julek jest radnym z PIS. I w dalszym ciągu spotykamy się ze sobą. Jedyna organizacja, którą ja znam, której [członkowie] nigdy z powodów politycznych nie przestali się ze sobą spotykać. Jesteśmy takim przykładem, że można. Że są ludzie, którzy potrafią ze sobą współpracować, nie boją się ze sobą współpracować i nie wstydzą się tego. Naprawdę. Tylko to odpowiedni ludzie muszą być i muszą być więzi. Trochę większe, niż dzisiejsze pyskowanie i walka polityczna. [Ludzie] muszą się na czym innym też koncentrować, na czymś pozytywnym. Można powiedzieć, że akurat nas, to połączyli Czesi i Słowacy. I teraz mamy ten 1989 rok, 4 czerwca. Wybory. Rzecz prawie nieprawdopodobna. Czesi to traktowali jako absolutny cud. No, bo przychodzi Zbyszek Janas i pokazuje im swoją legitymację poselską. Jest posłem. Przecież to nasz kumpel kryminalista, który musiał się tu ukrywać i lasami łązić. I nagle przychodzi poseł i mówi: „Niech tu przyjdą. Mam immunitet poselski”. Więc to po prostu było [postrzegane] w kategoriach cudu. Oni jednak nie byli tak optymistyczni, [nie sądzili], że to się dobrze skończy.

Data i miejsce nagrania	2016-04-14, Lublin
Rozmawiał/a	Joanna Majdanik
Redakcja	Agnieszka Piasecka
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"